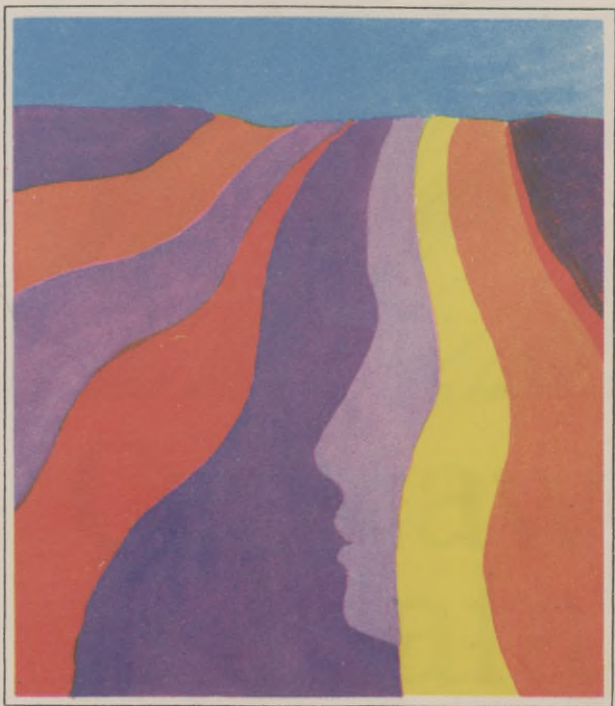


Czesław Kuriata



Wyznania najprostsze

Wyboru dokonano
z następujących tomów
autora:

Niebo zrównane z ziemią
(LSW 1961)

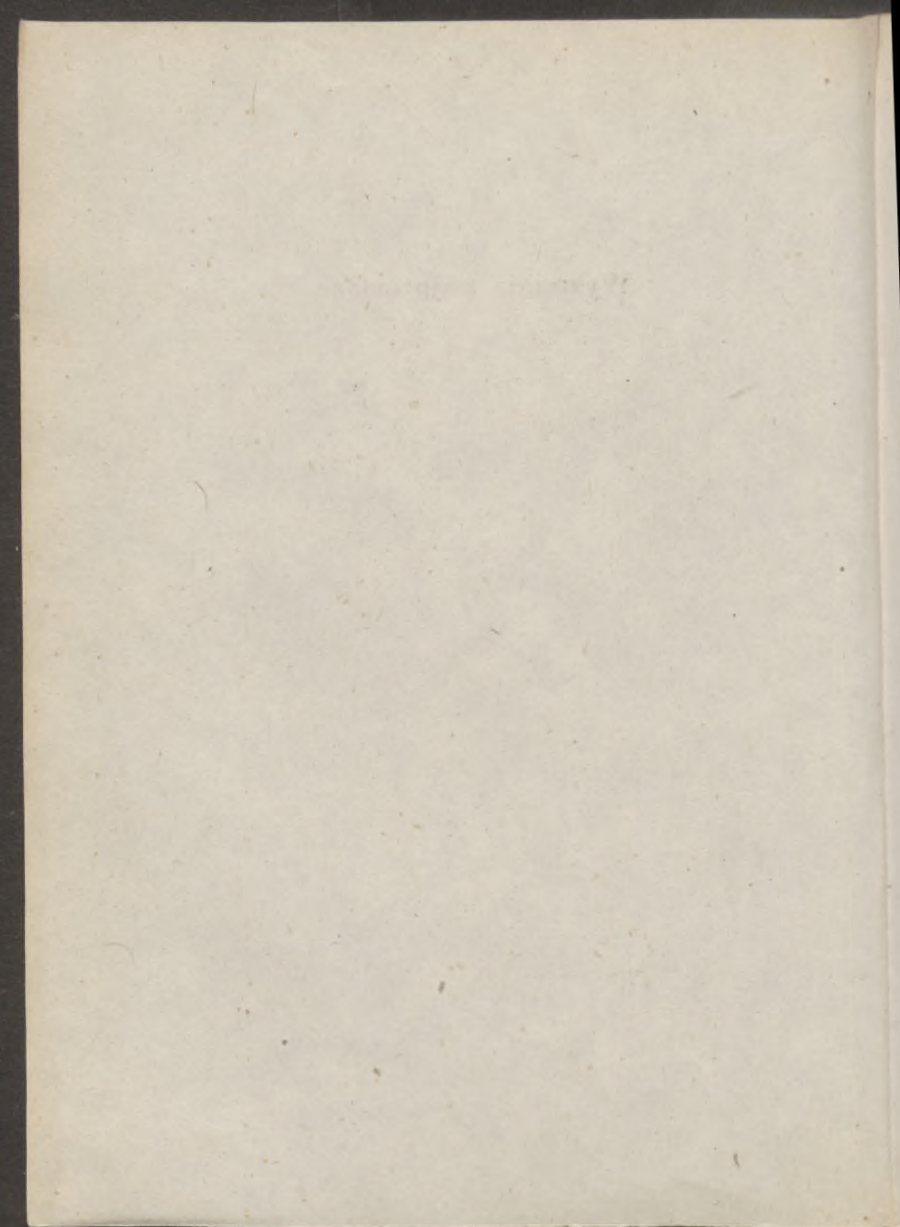
W każdą podróż (LSW 1966)

Jeśli miłość nazwać
(Wydawnictwo Poznańskie
1970)

Miara dłoni (Wydawnictwo
Poznańskie 1977)

Elegie codzienne
(PIW 1983)

Wyznania najprostsze



Czesław Kuriata

Wyznania najprostsze

wiersze o miłości

Wydawnictwo Morskie Gdańsk 1984

Opracowanie graficzne
Gabriela Kurowska



121553

884-1

MBP Słupsk Centrala



121553

© Copyright by Czesław Kuriata, Gdańsk 1984.

ISBN 83-215-9190-6

Wydawnictwo Morskie Gdańsk 1984

Wydanie pierwsze. Nakład 900 + 100 egz. Ark. wyd. 2,50.
Ark. druk. 7. Zakłady Graficzne w Gdańsku, ul. Trzy Lipy 3.
Zam. 2048 P-6

Chory tobą

W tym dniu
widnokrąg zawęziłaś wokół mojej szyi.

Słońce zachodząc za dachy
ubrało komin w wieżę cerkiewną,
ale ja nie mam żadnej modlitwy
prócz słów do ciebie.

Wracam,
każdy krok,
jakbym, uwięziony w miejscu,
usiłował chodzić po wszystkich ścianach.

Ten dzień bez początku i końca
chcę wystrzelić najdalej!

Ale on uwiązał mi u szyi,
i ja jestem wciąż chory tobą.

List

Tam

ręce twoje wyciągnięte westchnieniem
zapalają skrzynkę pocztową.

Tu

na poczcie z okienek wyfruwają gołębie,
spłoszone urzędniczki twarzami zasłaniają okienka.

W zamkniętej kopercie złożyłaś dłoń:
biała koperta — opłatek nadziei,
ruch twoich rąk zatrzymany w moich.

Ty

przedłużasz się we mnie
drogą graniastosłupa wyznaczonego powierzchnią
listu,
częstką z oddali wysłanej taflą światła
we mnie.

Wiersz pisany w Warszawie

Nie afisze rozlepić na murach,
raczej kształty liści przewidywać!

Wisła przedłuża się w
dłoń sfalowaną przed pierwszym akordem fortepianu.

Oto mosty podejmują cię:
zjawę, kształt powietrza w wietrze.

Autobusy — płomyki rozproszone
po starciu mnie z tłumem...
Znówu szczegóły z twarzy dziewcząt
gromadzę w wizję ciebie.

Oczekiwanie z szyn

I ciszę uciszyć,
aby usłyszeć tam twój oddech...
I ściany zniweczyć,
aby zobaczyć twoje oddalenie...

Oczekiwaniem
ustawiam dwie ciężkie szyny,
ale szyn wciąż przybywa,
więc ramiona unoszę — drogowskaz
dla ciebie — —

Na pewno błędzisz gwiazdami zmylona.

Podróż do ciebie

Oderwany ze sznura koralu,
ziemia upuściła mnie lekko.

Stacja wyrzuca w światło,
pocisk toczony przez tłum
do ściany prześwietlonej powietrza.
Dalej rozwijam kroki w linię,
na której prostokąt domu
i ty osrebrzona oknem
pajęczyny srebrne wyplatasz
od drzwi do stołu, do kuchni...

Cieniem przychodzę w twoje okno,
ścichnięciem gwiazd, ich przestawieniem.
W pokoju nawijam twoje niepokoje
na palce, na ręce, na szyję...
Duszony radością rozsuwam ściany
i świat tworzę jak geometra,
a w nim nas ustanawiam
jak stwórca.

Z tobą

W tramwaju
wydostaje źrenice z twoich włosów.

Miasto płonie i wieże ustawia w kozły.

A my wzrok utrwalamy od szczytu
do szczytu, i dalej — —
Brudną chmurę jak czystą bieliznę rozwieszasz.

Ty zachmurzona, więc kamienice prężą się
od wewnątrz.

Idziesz po swoim smutku jak linoskoczek.

Zamiast wybuchu
wiatr rozplomieniał twoje włosy.

Spacer

Krok z twoim parzysty
rozwijają drzewa za nami.
Stajemy:
drzewo układa się w koronę,
wiejska kobieta otulona chustą
błogosławi nas tysiącem liści
jak dłońmi.

O jedno spojrzenie szybsza
mrugasz,
rzęsy przedłużają promienie
i
radość rozsadza mnie w bezruch.
Nie broń mi
rzęs zatrzymać na wieczną pamiątkę,
wkuć w siebie z twoim cieniem.

Idziemy:
twoje włosy przemieszane z wiatrem,
dwa strumienie
o dzień jutrzejszy wsparte.

Światła wodospad pod powiekami

Kawałek lodu skupił tęgę,
ogień,
który przeszedł przez filtr mrozu.

Ty, w płaszczu z kołnierzem wiewiórki,
co w szyi gniazdko uwiła,
idziesz ulicą po słońcu,
którego powierzchnię rozciągnięto na ziemi
i gwiazdkami śniegu przybito
twoim wysokim obcasem jak młotkiem.

Dziewczyno zimowa w płaszcz otulona,
spojrzeniem przyciskasz skry, co trzeszcząc
chęć z ptakami ulecieć,
Stąd ból w moich oczach zatopionych
w świetle nagle wpływającym pod powieki
jak wodospad.

Przez miasto

We dwójkę przywracamy miastu kolory,
tniemy kamienice na klocki dla synka.

Rzęsami strzepujesz światła latarni
z moich oczu.

Ja,
od krążenia chory,
od stóp do głowy pozbawiony ciężkości,
jakby ruch samochodów w światło mnie wtarł.

Twoje spojrzenie przywraca mnie — tobie.
Ty — we mnie najtrwalszy odniesienia układ.

Uwielokrotniasz siebie:
swoją profil nakładasz na szyby domów.

Tramwaj nasze powietrzne postacie dalej odwiózł,
jakby ukradł.

* * *

Jesteś tęczą po horyzonty —
tęczą, która boli kilkoma kolorami.
Gdy przechodzisz przez pokój, przedmioty jaśnieją,
powietrze szturmuje okno.

Potem cisza — gubimy słuch.
Potem pustka — tracimy wzrok.
Na koniec odchodzi dotyk.

I znów jesteś świtem.

Oczekiwanie

To miasto przybliżasz przed oczy:
kanały z powietrza, na dnie
nowy strumień — przechodzisz włosami czesząc powietrze.

Na moich rzęsach płatek śniegu osiadł,
świat zagwieździł się i wywrócił nagle...
Twój obcas niebo nad widnokregiem depcze.

Niski promień przewiesza moją głowę
przez twoje piersi.

Świat się niedoszłym listem zamknął
w moim oknie.

Otworzyłem okno i całowałem powietrze:
ciebie nadaną przez wiatr.

Wiara

Mówisz

„tu zapanują kwiaty i wzejdą góry,
w ogrodzie wyhodujemy słońce
doskonalsze niż u van Gogha”.

Zbierzesz rosę,

aby wpiąć we włosy.

Wiem, gwiazdozbiór poniesiesz.

Mówisz

„najsilniej trzeba kochać bzy”,
zieloną modlitwą proszą paki,
gdzie spojrzę, twoje oczy.

Wiem, tyle luster chodzi za mną.

Mówisz

„świat zaziarnił się w maku”.

Wiem, przetrwamy obszar i ogrom.



Pierwsza zieleń

Pierwsza zieleń dla oczu
to pierwszy pocałunek dla ust:
szumi w głowie i tętni w żyłach,
zamieszkujemy wszędzie, gdzie słońce.

Podajemy dłonie i zamykamy dzień
w kółku z naszych ramion.
Krzyczę patetycznie:
„Wydarłem światu jeden dzień”.

Zieleń nabrzmiałych pąków —
wiosna zakwita pierwszym kolorem.

Otwarcie wiosny

Niebo powleka barwą kwiaty,
pąki rozsadzają drzewa w przestrzeń,
okna ustawiają się w drodze do słońca.

Na drutach jaskółki w pięciolinii,
więc ptak wędrowny trubadur
korzysta z nut.

Wieża wdziewa chmurę jak chorągiew!

Idziesz łagodzona liśćmi,
podwyższasz kwiaty do oczu,
odslaniaasz kształty drzew
jak pomniki.
Gałązkę wiatr w twoje włosy wplótk.

Dokonałaś otwarcia wiosny.

Wspomnienie

Znam cię z epoki,
gdy urzędowałaś imieniny dla pani Dyni.
Dwie kokardy ścigają się klute wiatrem,
do bożnicy chłopcy wpuszczają wróble;
mama cię pociesza, ale tobie wciąż żal ptaków.
(Nie zauważyłaś siedmioletniego generała...)

Znam cię z epoki,
gdy zazdrościłaś chmurom płynącym na promieniach,
wtedy napisałaś pierwszy wiersz, bo dostrzegłaś ogień
w słońcu.

Miałaś kilka lalek — same dziewczynki,
gniewałaś się, że samolot to nie ptak;
co dzień byłaś starsza o kilka lat
i miałaś już nawet umrzeć, ale lat zaczęło ci ubywać.
(Generał został cesarzem, bo zjednoczył dwie ulice...)

W ostatniej epoce zostałaś dorosłą dziewczyną.
Myślałaś — miłość wypuszczono na wolność;
myślałaś — miłość to pani z kolorowych obrazków.
(Kiedyś mieszkałaś obok cesarza,
który kradł serca z fabryki zabawek,
aby ogrzać chorą matkę...)

Wędrówka

W górę płyniemy w towarzystwie świerków.
Staruszcze, co widnieje kolorowym muchomorem,
całujemy dłoń.
Niebo siada na szczycie,
wejdziemy tam za chwilę wzburzenia.

Samotna dziewczyna idzie zboczem,
niesie biel czystą i lekkość jelenią.

Usiądźmy nakryci wiatrem,
strzeżeni przez słońce,
powiesz mi słowo, a będę je pieścił jak dziecko.

W świątyni po łokcie

Idziesz,
fartuch zbiera srebrne pyłki,
odkurza strumień światła...
(Fartuch kolorem przycichł
i groszki kulistość tracą
od starości...)

Dłoń
strzępki bieli w ruchu,
konstrukcje architektoniczne palców.

Jesteś Marią zanurzoną w świątyni po łokcie,
ręce twoje rzeźbią i ofiarę bezkrwawą składają...
Wszystko sprowadzono do symbolu:
zła cebula — łąza sięga światła,
ziemniak rozwijany z powierzchni,
światło odgrzebujesz.

Mario w świątyni po łokcie,
kapłanko dnia powszedniego.

* * *

Twoje oczy o każdej porze
owoce źródlane
w przyjaźni z morzem wypełnionym po brzegi.

Ty, nieskończona w kwiatach,
róże oswoiłaś,
bzom nadałaś szlachectwo.

Zniosłaś wszystkie horyzonty,
aby świat zawęzić do nas.

Wiedza o tobie w szczegółach

Wczoraj obierałaś ziemniaki,
zachowałem cię w tej chwili na zawsze,
Potem skrobałaś marchew,
uczyłem się twoich ruchów na pamięć..
Dziś kroiliś cebulę szklistą,
niewinną jak w zagadce:
„Gdy ją rozebrali, to nad nią płakali...”
I ty płakałaś śmiejąc się do mnie.

Patrzę aż do zaniku wzroku,
rzeźbię cię tysiąckrotnie:
z ziemniakiem, marchwią, cebulą,
w dniu świątecznym i w dniu szarym.

Moje zdobywanie wiedzy o tobie
z promieniem na ręce, z promieniem na czole,
z promieniem w oku.



W chorobie

Twarzą swoją jak słonecznikiem
obracam za głosem twoich kroków.
Twarz moja jak słonecznik pragnie ciebie,
twarz moja bez napęczniałych ziaren,
które zabrano jakąś obcą ręką
na chwilę przed wschodem tysiąca słońc.

We wszechświecie, którego środkiem głowa,
wędruję po świetlistych orbitach.
Wyrwać się z wnętrza nie mogę,
ułożony na smugowym kółku,
przestraszony spadam w przestrzeń.

Jestem w krainie olbrzymich twoich palców,
pod którymi tli się ziarno —
moja głowa.

* * *

Gdyby przeniknąć się sobą
warstwą dwu wiatrów,
a nawet wodą i winem.

Mówisz
„zamień mnie w brzozę”,
nie wiesz,
ten dzień zamienił się w brzozę,
w odcinek Drogi Mlecznej.

W polu

Zieleń wsiąka w twoje włosy,
boimy się zdeptać wschodzące trawy.
Napelnia nas radością
cicha rozmowa oczu.

Potem rozwiązujesz ptakom skrzydła.

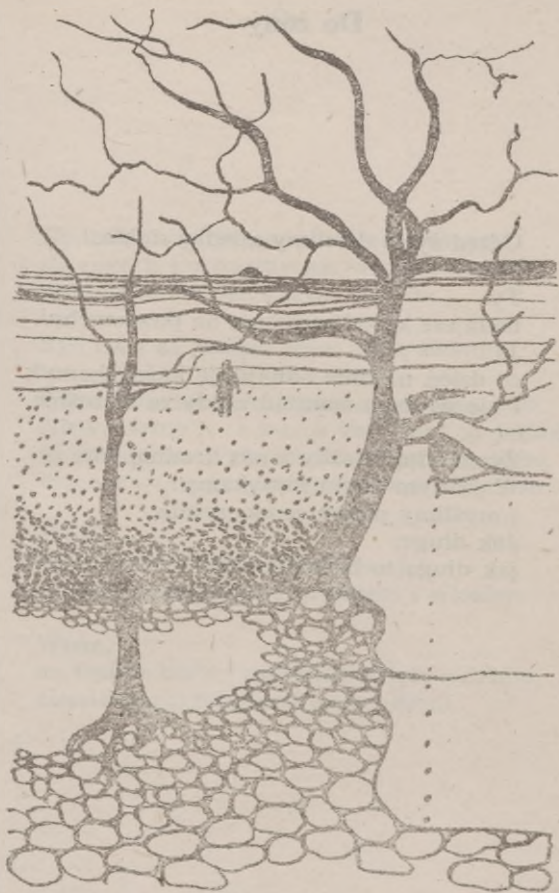
Pole rozbrzmiewa pieśniami dla ciebie,
zbliża nasze ciała
do barwy nieba.

Dwudziesta trzecia

Dwudziesta trzecia k witnie jabłoń,
ptak coraz serdeczniej się przymiła.

Sumuję dziś twoje i moje oddechy
w westchnienie-toast.
Od wzroku mego już nigdy nie stroń.

Odtąd
w tobie i we mnie jedna chwila.



Do żony

Odtąd życie dzielimy między siebie.

Ty
nadajesz kształt rzeczom na powierzchni.
Ja
co dzień na dnie odnajduję każdy kamyk
i nie wracam stamtąd nigdy za wcześnie.

Życie odtąd każdy z nas kradnie.
W jednym domu zamykamy
i myślimy potem jednocześnie:
Jak długo,
jak długo to będzie trwać?

On

Co dzień odwijamy jedną fałdę świata,
na rękach kołyszymy nie wzeszłe słońce
z promieniem pierwszym słowem.

Syn nasz za jeszcze jedną taflą światła.

Więc człowieka obniżamy na poziom oczu.
Niewidoczny — a wzrok zawężasz od jasności,
ja czekam na wybuch dla drzew i w niebo,
dla nas — na kołysanie słońca w dłoniach.

Widzę:

zielen z liści wpławiasz w oczy,
wyplatasz warkocz z promieni i włosów.

Wiem,

on będzie barwą misternie zdjętą z drzew,
światłem ogrzanym w naszej dłoni.

Światło ci ofiaruję najpierwsze,
boś źródłem światła i bezkresem.

Ofiarować ci mogę
owoce wyobraźni, oczy nad miarę,
barwy bez nazw — podróże o tobie.
Odwracanie dla ciebie świtu na zawołanie
jak kartki książki.

Nasz syn wejdzie w światło

Nasz syn wejdzie w światło
Ziemi, która odtąd światło będzie rodzić.

W przestrzeni zamieszka równy ptakom,
ale skrzydła nie będą go więzić jak ptaka,
zobaczy wszystko prześwietlone swoim wzrokiem
doskonalej niż ty, stojąc przy rentgenowskim aparacie...

Nasz syn wyrośnie z nas strumieniem światła,
nad drogą przejdzie, gdzieś ty nogi raniła,
ja brnąłem nosząc prostokąt wokół siebie
i wzrok kaleczyłem podczas błyskawicy.
Nasz syn z błysku narzędzie zrobi,
jak ja robiłem pajaca z plasteliny...

Nasz syn wejdzie w światło
Ziemi, która odtąd będzie światłem.

Do córki

Kalino, córko urodzona w kwiatach czerwca,
jestem już inny — a miałem pola rozesłać
dla ciebie i w śpiewie ludu znów umieścić.

Świat przywitał cię wybuchem nuklearnym —
taki zgotowano ci salut na największej wysokości;
jeszcze krzyknąć nie zdążyłaś żyjąc, a już
błysk dla ciebie — aureola ponad chmurami...
Oto, z jaką chwałą i pod jakim znakiem urodzonaś,
i w jakie weszłaś światło — —

Stoję bezradny u wrót, skąd matki ręce wyniosą
i wydadzą światu — ciebie, wyjętą z pieśni ludu...
Cóż więcej mogę ci zapewnić prócz imienia.

czerwiec 1962

Ten owoc

Ten owoc o strukturze światła —
przepływ linii w kształty —
włosami powiela niebo,
więc wypływają chmury.

Ten owoc o pulsującym ramieniu —
słońca przyciąganie jak magnesem,
nas obraca słonecznikiem,
wzrok rozszczepiony wielobarwem —
wzrok umęczony.

Ten owoc.

Średniowiecze naszej miłości

W tym mieście średniowiecza
w mieście naszych ciągłych inkwizycji
o północy nie kogut ale księżyc
srebrnym grzebieniem wyje
obejmując profil piersi dziewczyny
dwucieniem wyrzucenia jej rąk
gdy w nachyleniu włosy lasem w oddali
w sen zabierają tamten czas

W tym mieście naszego średniowiecza
jesteś białym cieniem szpitalnym
dziewczyny w oknie która — na chwilę
ostrym zarysem ciebie z granitu —
ściąga mnie na dno ziemi

Miłość

Idziemy owijając siebie ścieżką,
otuleni polem, jedynym naszym tłem —
więc wciąż idziemy, idealne równoległe,
lub tak podobni jak dwie krople
światła albo piasku...

Pochyleni smutkiem od stóp
do najczulszych punktów źrenic —
tak ostatecznych,
że jeśli wszystko kłamstwem
one pozostaną ostatnią iskrą...

Idziemy obok siebie bez nadziei —
dwie idealne równoległe.

Erotyk

Jesteś gwiazdą nie spełnioną w dzień,
ostrym szkicem ruchu w chwili,
gdy na tafli wiatru układasz włosy
i nogą płoszysz światło,
aby wejść zwyczajnie — jak wchodzi
motel w pyłek kwiatu.

Bywasz brzaskiem dnia wśród nocy,
fontanną rąk nad głową —
wezbraniem rzeki, bielą zachłanną,
gdy twoje ramię ścina mnie jak sierpem.

Jesteś także uciszonym marmurem —
znikaniem w zmęczenia nicość,
kiedy lgniemy zwyczajni do powierzchni
jak polna ścieżka do obszaru pola.

Na chwilę załśniewam w twojej źrenicy
i milknę — jak zapalka po swoim triumfie.

Mały erotyk

Ciał zawężenie w zmrużeniu źrenic
świat kształtowany w jedną bryłę
po to żeby stopy otarte o ścianę
krzesaly słowa ciche że bez dźwięku

Ramiona tak upięte w klamrę
że rzęsy kaleczą ciało
że oddech wyprzedza serce
że świt i nie ma świtu

* * *

Jest słońce to samo i ziemia wciąż ta sama
Jesteś ty jak dawniej i ja chłonę ciebie wzrokiem
I tyś piękna więc jak dawniej grozi ci zamach
Świata z którym dawny spór o twe istnienie wlokę

Wciąż się pniemy wyżej i ta wysokość tak nas odmienia
Że już nie ma naszej miłości jak kosmonaucie brak cienia

Wiersz sentymentalny

Widzę cię co dzień, gdy wzrok łaskawy
na piec skierujesz i ręką przywrócisz tętno —
więc serdecznie łąsi się jak kot.

Idziesz zwiewnie prowadząc mnie na spojrzeniu,
jak prowadzi się wzrokiem dziecko,
gdy chodzić zaczyna
(czasami wiatr spojrzenia zawiąże,
wtedy stoisz w słońcu jak pomnik).

Widzę cię co dzień, gdy miotłą pył
strzepujesz — powagę przedmiotom odbierasz,
aby znowu świeże przywrócić oku —
bawi mnie przesada twoja w walce z kurzem
(tak Don Kichot walczył z rycerzami wyobraźni).
Kiedy pierzesz, ręce twoje fruwały jak słowa
w złości — potem koszule torturujesz,
żeby łagodne były dla mnie.

W realiach dnia
jesteś najbardziej realna
i ziemska jak najzwyczajniejszy dzień.
Umiesz ułożyć jarzyny obok swego wdzięku
(tak malarz układa kolory na płótnie)
i próżność podobania się
obok troski o chleb.

Odjazd

Chorągiewka opuściła pociąg
i zapadam się,
jakby łańcuch wagonów zawieszono mi u szyi.
Twój płaszcz zaognił peron
i kiosk w płomieniach —
gubię ciebie w iskrach parowozu
i gwizd urąga
przeraźliwym śmiechem.

Już czerwień twego płaszcza płonie
coraz słabiej
jak ognik na bagnie, gdzie tonę
i rękę wyciągam —
jakbym utonął.

Mój odjazd —
moje umieranie w tobie
i nagły wybuch
ciebie — we mnie.

Skupiam ciebie w żrenicy
i twój odjazd
mój krok w bieg kukły zmienia.

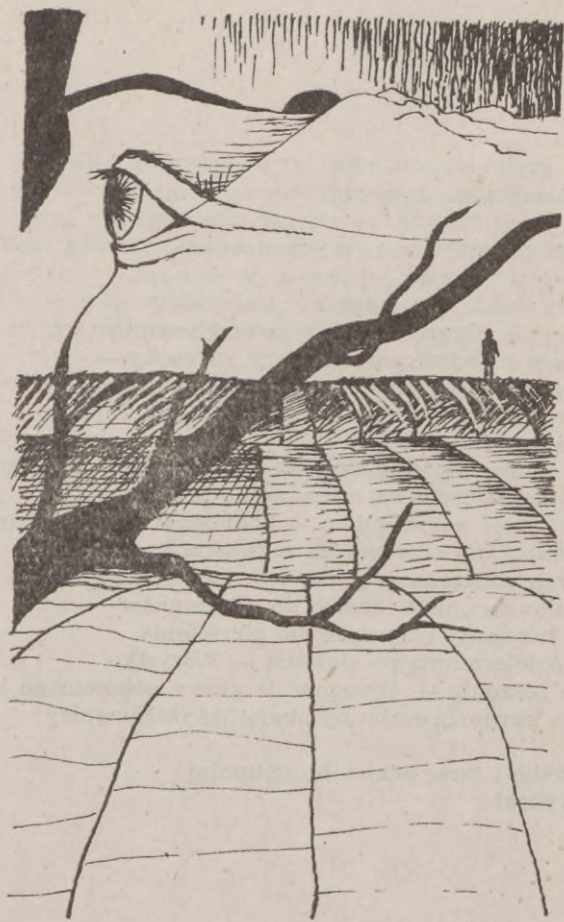
Odjeżdżasz
wśród wodospadu kamieni
wystrzelonych z bruku żalem,
mój ból nagłym ptakiem
wyrywa się z dłoni.

Inna ty — nieuchwytna

To już nie fotografia,
ustalona poza i zwrócenie twarzy do światła,
ułożenie rąk równolegle do ciała —
Oto niezgoda nas z krzesłem,
i z uśmiechem drewnianego świątka.

Tu powietrze w trójwymiarach,
soczysto utrwalone na powierzchni oczy,
wargi powaśnione — śmiech.

W prostokącie uwięziono ciebie dla mnie.
Inne ściany — gdzie cię szukać wielostronnej,
inna ty — nieuchwytna.



Szyja

A kiedy oczy albo szumniej
wzrok wybrał
to krzesło ten stół i tę twarz nad stołem
na którym wciąż cień jej skacze po słowach
radosnym skokiem polnego konika
widzisz nagle: figurę osaczoną na szachownicy
gdzie jeden kwadrat pola a cztery już osoby —
więc zaraz po spojrzaniach modnych bez wstydu
zostaje tylko twarz nad stołem i głowa w cofnięciu
nagłością fotoplastykonu:
Szyja o której nic o której nikt która tylko powierzchnią
burzliwym wodospadem lub swojsko porohem
na której — ze zdziwieniem — ślad jedwabnego sznura
Szyja idealna dla czerwonych rękawiczek
z własnych pończoch — jakby i tu katowskie piętno
Szyja laskocząca usta idealna do pocałunków
banalny łuk sarny i wnętrze dla pierścienia
pulsuje powierzchnią po słowach — Wszystko
już trwa sekundy — Opuszczenie głowy pokonanego konia
na kratce kawiarnianej niby obojętnej szachownicy

Oto tragedię i farsę oczy albo szumniej
wzrok wybrał

* * *

Ty jesteś ostateczną a tak niewidoczną miarą
gdy sobą życie moje wciąż od nowa odmierzasz
jesteś nie wnętrzem kamienia o którym poeci
lecz próżnią po nim która już nie do rozłupania

— — więc zakazać by istnienia
twojego piękna w przeszłości nas — —

Z folkloru

Jeśli miłość nazwać
rzeką —
to jesteśmy jej brzegami

A kiedy brzegi
razem
znika rzeka
co miłością

Jeśli miłość nazwać
radością —
to miarą jej
szybkość światła

Jeśli miłość nazwać
wspomnieniem —
to obraz jej
słońcem
na dnie morza

Ptak ciężarem ziemi

Wiosna cię zaskoczyła
twoje ciało cień śniegu

Wchodzisz w powietrze
w tchnienie wiosny jak westchnienie
spotkania po latach

W parującej ziemi
przewidzenie świeżego chleba —
w trawie igliwiu
opadłych liściach zimy
ukłucia wspomnień mikrobylski

Leżymy w objęciach ziemi
wsluchani w jej bicie
w szept naszej krwi i jej strumieni

Ptak zawieszony nieruchomo
równoważy nas z ziemią

Nagły promień słońca
zawiesza nasze nagie ciała
w miejscu ptaka
który ciężarem ziemi

Dwie rzeki

Jesteśmy jak skrzydła wiatraka
powietrze rozżarzone naszymi ciałami
wzmaga falowanie zieleni
Tylko serca kamienie młyńskie
ociężałe i obojętne na ziarna
które nie wzejdą
które zamieniają się w sen w białą nicość

A kiedy mówimy niepotrzebne słowa
siadają między nami leniwe ślimaki

I znowu wiatr znowu przemieszanie warstw
naszych ciał które cierpkie
plastrem cytryny dreszczem
przesiákanie sokiem pamięci
każdego dotyku i każdego słowa

Nasze ciała pulsem dwóch rzek —
zawsze za chwilę wpadające w siebie
O, przedłużyć to zawsze za chwilę
jak przedłużyć chce trwanie światła
umierający w samo południe

A dzień lata kradnie
noc w pośpiechu

Bądź chwilą

Nie każ mi sobą oddychać
nie każ mi sobą pić

Nie bądź wiecznością
marzeniem wieszczów
którzy pragnęli ciebie
okrutnej

Nie bądź nieśmiertelna
bo będziesz okrutna
jak śmierć

Nie bądź szlachetna
od stóp do głowy
nie bądź dobra
w każdym geście
nie bądź nieszczęśliwa
nie bądź szczęśliwa

Błagam
bądź chwilą
której żadna
z kobiet świata
nie powtórzy

Akt

Wewnątrz ciebie
wciąż umiera ptak
więc jakby skrzydła
poruszały twoje ciało

Oto chwila rozkwitania ciebie —
pękanie żył
w różę wypełniającą przestrzeń
do bezruchu

Zdziwienie sobą

Najpierw przeczuwanie się —
i to ma trochę
z przyrzędu szukającego miny —
Za chwilę wygładzanie nierówności
i jeśli jeszcze chropowatość
to nagle góry łakną dolin
doliny gór — —

Wreszcie dwa magnesy
objęte polem — Powrót w epokę
ameby jamochłonu dna morskiego — —
Ziemi porzucenie jak piłki
(płuca wchłaniają przestrzeń
między wodą a ziemią)

I oto
ziemia zmniejszona do ziarna maku
pali pod powiekami oczu
Tu następuje zdziwienie sobą
zachwyt tego który w ciemności
ujrzał światło
Powiedzmy światło
szabli
ścinającej jego głowę

Dialog

I nagle mówi Wyrzuć mnie z tej formy
jaką jest ciało Wypełń mnie Wypełniaj
mnie wciąż od nowa Bierz przykład z fal
morskich Niech rytm będzie wieczny

I nagle odpowiada Jesteś mi potrzebna
potrzebą powietrza słońca krwi Oplyń
mnie morzem Owiń strumykami
błyskawicą twoich żył

I nagle mówi Niech fale nie ustają
Śladem suchej soli wyczerp mnie
do dna I nagle mówi Świat jest
twoim brzuchem powietrzem śladem dłoni

I nagle odpowiada Spalamy się
i wciąż marzymy by jak Feniks
Morze między nami unosi się dymem
i przestrzeń wypełnia się morzem
I nagle mówi odpowiada Twój brzuch
paruje jak świeży chleb

* * *

Mówisz tylko las i drzewo drzewu
Tak podobne i cień ogromny lasu
Ciemność odtąd prześwietla nas rentgenem
Ciężar cienia metalem w nas najcięższym

Nie uciekaj przed światłem swego ciała
Nie uciekaj przed jego we mnie cieniem

Liryk z lustrem

Nie patrz w lustro ani w jezioro
Tu oddech cię przesłoni tam wiatr zetrze

Nie narzekaj żeś z bólów zła
Nie lituj się nad zmarszczką za dużo
To lepiej być nie mogło To właśnie tak
Gdy żyjąc odczuwasz nadmiar siebie — —

Chcesz żyć w szczęściu nie odczuwając siebie
I być kamieniem pod wiecznym słońcem — — — ?

Wszystko jest między nami grą znaczeń:
Spojrzenia ludzi, słowa i kolor fałszywy;
Śmiech beztroski, który w nas echem zapłacze,
Gdy radość twarzy błysnie w lustrze krzywym.

Jest góra, co w samotność wynosi i dzieli,
Jest codzienny niepokój o radość smutku,
Jest łuk tęczy z nicości, bo tylko z bieli —
I co ma trwać długo, wciąż trwa zbyt krótko.

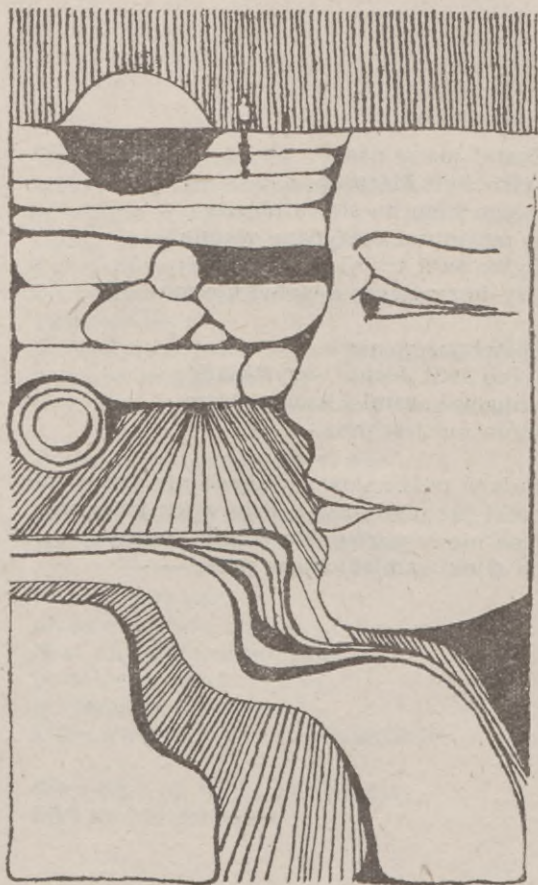
Wszystko jest tutaj tylko grą znaczeń:
Gest złości, zawiści ludzi, zmrużenie oka;
Odtąd między nami jest wszystko inaczej,
Więc znowu dzieli nas — rzeka głęboka.

Widzę ulotność kryształu — ciebie nagą —
W zimnej powłoce ogień wnętrza ziemi:
Tak nadmiar życia śmierć równoważy odwagą.
Chory szczęściem idę, jak odchdzą niemi.

Pamięć

Odtąd kiedy dotknę
siebie pamięcią wszędzie
Twoje ślady przestrzeń i pola
we mnie To twoje włosy
i wiatr twoim oddechem
i myśl o tobie jak puls
umierającego przez całe życie

Jakież to niesprawiedliwe
dla innych kobiet
gdy wciąż krążysz w mojej krwi
i mgłą pamięci wciąż
przesłaniasz światło ich oczu
Wyzwalające dla mnie To ciepło
którego nigdy nie mogłem Nazwać
twoim imieniem



Świt

Został już w nas
tylko świt Marmur
twego śmiechu słowa płaczu
w powietrzu rozsypane wapno
Tylko świt trwający wiecznie
gdy jeszcze żyję a ciebie nie ma

Został już w nas
tylko świt Jesteś wszystkimi
drogowskazami i każdą rzeczą
która nie jest mną — —

Puls w puls i słowo w słowo nie przepłynie
rzeki już nigdy nie będzie w krajobrazie
I na nic że porównam chwilę świtu
na wieki zamienioną w perłę — —

Powrót

Oto wróciła ta chwila
więc i ty jesteś dosłowniejsza
w wizji z powietrza —
Gonię wzrokiem za wiatrem
i czytam nasze zdarzenia
bogatszy o wszystkie przeczucia
ciebie — —
To wszystko jedno czy twoja niezwykłość
w mojej zwykłości
Czy dzień wymierza wierszem w śmierć

Widzę niewidoczny węzeł nas
dwie warstwy wiatru
których już nic nie rozdzieli
jak przejście oddechu w oddech

Każdy twój gest
na zawsze we mnie —
Nikt nie zabierze miejsca
po tobie bo jest ono tobą
korzeniami moich żył
które kwitną w noc świętojańską

Więc tego na wieki zakwitania
nikt mi nie zabierze

* * *

To nagły uśmiech ruch wieczną grzywą konia
mną jak dzieckiem w kołysce dłoni kołysze
I patrz — znów my w wymiarze: wszechświat
jednością z krzesłem łóżkiem stołem świtem

Odtąd już jedna kronika pisana uśmiechem
twoich i moich za i przeciw — Piszę sobą
w tobie — Ty we mnie sobą odtąd piszesz
My — krwią pierwotny rysunek w jaskini — —

Cóż pozostanie

W tej nocy ułożony
w twoich oczach
więc ty we mnie
a ja w tobie

W dzień przepływamy
obok
a wiatr przesłania wzrok
więc bieg wokół siebie —
Ani ja w tobie
ani ty we mnie

Cóż pozostanie
Jeruzalem kamień na kamieniu
gdy wszystko tak mocno było
gdy wszystko tak mocno będzie

Obok siebie

Jeden pociąg nas wioził

I tu i tam
wsiedliśmy i wysiedliśmy
na tej samej stacji
nie wiedząc o tym

Jechaliśmy pociągiem
tak zatłoczonym
jak życie
które wciąż przesuwa nas
ruchem skoczka

Jak życie
w którym nie wiemy
gdzie pola czarne
a gdzie białe
i jakim naprawdę
ruchem
przesuwa nas
obok siebie

Odjazd w dzień deszczowy

Twarz twoja w oknie
w ramie ruchomej powietrza —

Oto deszcz, którego krople milionem przypadków,
jak nasze po ziemi wędrowanie.
Deszcz na chwilę nas przemieszał i mgłą
naszych ciał przesłonił przed ludźmi.

Nagle odwozi ciebie wagonu szyba
w medalionie z kamienia.

I od nowa,
rośniesz wypełniając przestrzeń, rozsadzająca
mój cień każdym gestem, echem słowa, wspomnieniem,
które odtąd jedyną rzeczywistością,
tobą zmartwychwstającą wciąż od nowa.

I mówi światu prorok naszych historii
Że dniem pierwszym iskra co z krzesiwa

Szarość oślepiła i znikął widnokrąg
We mgle a pejzaż stał się wyliniały
I krok ludzkiego już nie miał celu
Wzrok wykreślił wszelkie już widoki

Wielki tumult ludzki w nas jak potop
Odebrał nadzieję wyluskania nadziei —
A kiedy na nasze ścieżki rozpacz opadła
Jak mgłą pył rdzawy dusił słowa tkliwe

Nagle w pejzażu martwym aż na przestrzał
Nasze ledwoślady tuż obok siebie — — —
Tak polny krzemień w sekundzie rodzi iskrę
Którą gąbka chłonie jak spragniony źródło

I mówi światu prorok naszych historii
Że dniem siódmym iskra co wewnątrz gąbki

* * *

Nagły smutek
jak wiatr znikąd
zamienia nas
w pejzaż martwej natury —
Oto nasze oddalenie
ciemnym motylem
w twoim spojrzeniu
beze mnie

Fantom

Jesteś w moim życiu fantomem
widziałem i zjawą w tylu postaciach
Heleną która udaje żal
i Ojnone skaczącą w płomienie
Penelopą wciąż przędącą
przyszłe moje szczęście
jak nici

Jesteś w moim życiu fantomem
wciąż na wyciągnięcie ręki
najdłużej trwającą smugą smutku
błyskiem w oczach kochanków
przecuciem szczęścia o świcie
bladym jak twarz konającego

Jesteś w moim życiu

Nasza przeszłość
dopada nas w chwili
radości

Nasza przeszłość
żyje w nas najmocniej
w smutku

To ona —
która już nic nie znaczy —
jak trąd rozkłada
nadzieję

To ona
pustynnym echem
każdego marzenia

Nasza przeszłość
to my
uwięzieni
na każdą przyszłość

Modliszka

To u niej nogi jak do modlitwy
i ręce anielskimi skrzydłami
w tańcu miłości —
Doskonałym chwytem japońskim
dopada ofiary która daje jej
rozkosz

Tę miłość
chce zachować na wieki
więc zabija kochanka zjadając —
Albo to najzwyklejsza zbrodnia
lub egoizm Już nic dla nikogo
po mnie

Modliszka —
oto nasz
świerszcz za kominem
(obojga płci)
naszych ognisk domowych
kiedy wciąż trawieni niedosytem
zjadamy się w miłości

Modliszka
nasz świerszcz za kominem —
On ona ja ty
w zależności od
sytuacji

* * *

Jeszcze nie żyję teraźniejszością
Jeszcze nie żyję przyszłością

I tylko wtedy gdy zapominam
przychodzą chwile
które miarą dwu wielkich czasów
Z mozołem wygrzebuje je
jak drobne skorupy pięknych kształtów
których nigdy nie zobaczę

Wciąż jeszcze żyję przeszłością
Wciąż jeszcze żyję tobą beze mnie
Powiedz czy starczy nam życia
na teraźniejszość która tylko w chwilach
Powiedz czy starczy nam życia
na naszą przyszłość
mnie bez ciebie
ciebie beze mnie

Wciąż jeszcze żyję przeszłością

Nie mów żeś wyzwolona

Oto świat udaje wokół teraźniejszość
a ludzie wciąż jak przed malarzem
ustawieni do pozowania
I wszyscy milczą że realizm we snach
bo sny bywają najczęściej historyczne

Śnił mi się wczoraj rzymski wyzwoleniec
Zachłanny wolnością której nie znał
dopał mnie krzycząc że wyzwolony
i odtąd nie ma żadnego pana
Wszak wyzwolony jestem krzychał w niebogłosa

Widziałem jak ręce zostawiał w salonie
rzymskiego patrycjusza Wielkiego Snoba
jak nogi oddawał pod Maratonem
siebie wciąż ustawiał dla wzroku innych
na rzymskim Forum pełnym gapiów
Widziałem jak głowę schylał pod srebrny topór
Wszak wyzwolony jestem krzychał w ehoziemię

Nie mów żeś wyzwolona z samotności —
w nieładzie siebie rozrzucając

Śnił mi się — moja miła — rzymski wyzwoleniec
Oto świat udaje wokół teraźniejszość
i choć sny bywają najczęściej historyczne
rzeczywistość w snach większa od nas samych

Maria Magdalena

To w niej było pragnienie życia
ponad miarę ludzką
więc została jawnogrzesznicą

To ona żyła dla innych
rozkosz przynosząc przybłedom
rozkosz przynosząc trędowatym
wszystkim którzy byli jej niegodni
Więc rzucano w nią kamieniami
buntując się przeciw własnej nędzy
krzycząc przeciw ułomności w sobie
brzydząc się własnej brzydoty

Maria Magdalena pełna litości
otwarta jak kielich kwiatu
w pysze i skrusze jednocześnie —
więc zazdroszczono jej odwagi
Grzechem i hańbą wszystkich poddanych
nazywano z zawiści jej dobroć
za którą nikt nic dla niej

A kiedy pojęła ludzką chytrą
i umyła nogi Chrystusowi
ludzie uznali ją świętą

A to tylko On dostrzegł że
poniżając siebie innych wywyższała

i zrozumiał jej nieszczęście
wiedząc jak żalosne ludzkie drogi do szczęścia

To tylko On widział w niej pragnienie życia
Czyż za umycie sobie nóg
za uniżoność Z próżności mógłże uznać
ją świętą On który jakże skromny

Ponadto Maria Magdalena
przykładem dla wszystkich epok

To ona wzorem przebiegłości polityków
Wiedziała kiedy i komu umyć nogi
Wiedziała że czas już nadszedł by odejść
i zostać na wieki dla przyszłych pokoleń
gdy ciało w proch się rozsypie bez pamięci

O Mario jawnogrzesznico
O Magdaleno święta
w tobie historia ludzkości
jak w zwierciadle powtarzana
z epok w epoki
W tobie wszystkie wojny i pokoje

Twój pomnik ni świętość ni grzech
O tobie pamięć boś mistrzynią sprytu
który w człowieku póki rozum

Mario Magdaleno
największa ladacznico świata a święta
któraś dokonała trudniejszego cudu
od wszystkich cudów Mesjasza

O Mario Magdaleno
nienawidzę cię i podziwiam
bo żyjesz we mnie jak światło i cień

jak miłość która tuż nad przepaścią
wciąż powiada że dopiero się zaczyna

Mario Magdaleno
nie biorę ciebie w obronę jak Chrystus
boś zwycięska moją ludzką bezsilnością

On i ona

Ich twarze
noszą grymas
wszystkich kochanków

Wciąż
kłamią sobie
a jednak
mówią prawdę
innym

Nie wiedzą
że w nich po prostu
piękno i smutek
podróżnych
Arki Noego



Jaśmin tego lata

Za oknem jaśmin naszą
historię powtarza o tej letniej
a więc nijakiej porze Oto
świat trwa leniwie Bez domysłów
w każdym znaku oczywisty

A jednak za oknem
jaśmin zakwita nadzieją
jakichś rzeczy niepojętych
Tym co się zbliżają objawia
swoją prostą doskonałość
śmiertelnym zapachem O czym wiedzą
na wsi nagimi zmysłami obcując
z przyrodą Nie mają jakichkolwiek szans
na pozory Które naszym uspokojeniem
ludzi żyjących poza samym sobą
A więc nigdzie

Jaśmin tego lata za oknem
powtórzył naszą historię
Jakbym wrócił z dalekiej podróży
bez początku i końca Bez ciebie

Każda podróż
to jakby chęć doznania
niebezpieczeństwa
utruty ciebie

Bez rozstania
nie ma marzenia
jak szczęśliwi
tracą wszelką nadzieję

W nas podróżujące
spotkania
dopóki tchnienie
gdy rzęsa porusza
koła lokomotywy
wciąż w nieskończoność

Tylko ręka
w oknie wagonu
znakiem pytania
zwęglonym
mgłą oddalania się

W moim rozstaniu
jedyne oparcie
poza tobą
przecięciem się dwóch
równoległych

naszego życia

Moja podróż
ostateczność
ciebie

Co dzień

Co myśli trzonek drewna
gdy ostrzem siekiery
las bezlitośnie zabija

Co dzień
tyś moje narzędzie
przeciw wszystkim kobietom
które niszcę
przy pomocy ciebie

Co czuje chmura
gdy w najpiękniejszym rozkwicie
płynąc triumfalnie pod słońcem
upada w błoto

Co dzień
jestem twoją nadzieją
która milknie tuż przed
radością

Jaka siła w rzece
każe jej dążyć do celu
by umierać bezimiennie
w morzu

Co dzień
moja miłość do ciebie
jak ćma do światła

do ognia

Czy wiedzą
drzewa umierając
że zmartwychwstaną
węglem

Co dzień
palę w piecu
wierszami o tobie
wciąż z nadzieją
siebie

Pytania do bliskiej z odpowiedzią

Czemu smutek w tobie rodzą
inni ludzie —
Czy nie wystarcza ci nasza
obcość

Dlaczego martwią cię nekrologi
w gazetach —
Przecież umieramy co dzień
na nieporozumienia

Czemu drżysz na wiadomość
agencji o wojnach na świecie
gdy wciąż zabijamy się
walcząc o siebie

A jednak
gdyby cię inni ludzie nie ranili
gdybyś nie zauważała nekrologów
i gdybyś wojny przyjmowała obojętnie —
Nie byłoby nas obok siebie

Nie buntuj się przeciw naszej samotności

Jeżeli świat nas nie rozumie
Nie powtarzamy innych Nasza miłość
przetrwa dopóki będzie niepojęta
Jak zdarzenie którego nikt nie dozna
nawet we śnie

Nie buntuj się przeciw samotności
Gdybym wyraził naszą miłość
znajdując analogie opisałbym innych w nas
samyh Już nie istniejących w samotności

Nasza miłość trwa dopóki własnym Nie —
podobieństwem przylegamy do siebie Jak góra
odwróceniem doliny Obie tożsame w odwrotności

Nasz pejzaż wewnętrzny

I

Kiedy jesteśmy pełni winy
przeświecamy w sobie pustką
tylu miejsc wspólnych

W nas krwawi zwierzę
któremu nagle zabrano
radość biegu
osaczając językami płomienia
podstępem umiłowanego lasu

Kiedy przeświecamy pustką
po sobie
jesteśmy ogrodem obumarłym
bezlistnym w marzeniu

Kiedy jesteśmy pełni winy
między nami ptaki skamiéniałe
a promienie wżroku
nieufnością węża

II

Oto niszcę twoje szczęście
które przeciw mnie w smutku
więc słowo chwyta za gardło
jak żalność czyjejs śmierci
gdy gwiazda spadła

I nic już w nas
dla tej przeszłości żyli długo i
Tu każda chwila sentencją
gdy światło z ciemnością
w idealnej równowadze

W nas
smutek radości
i radość ulotna
ciężarem

W nas jasność
żyje najpełniej
cieniem

III

Dosyć już igrania z ogniem
dość już tańca na ostrzu noża
Nie twoja to wina
Nie moja to wina
że jesteśmy z jednej gliny
Wciąż wołam o niepamięć
skazania na siebie

Dosyć już igrania z
dość już tańca na
Na nic twój pozór co ratunkiem
i na nic moje serio co śmieszne —
Jesteśmy dla siebie
cieniem najdokładniej
więc niknie cel nawet
na wyciągnięcie dłoni

Dosyć już
dość już

* * *

Jeżeli miłość istnieje jak śnieg białe —
Niech każdy płatek nicości jej śniegu
Przedłuża nas w nieskończoność całą.

Jeżeli miłość jest gwiazdą nieuchwytną,
W nas ciemności i światła rytmem —
Wiecznie niech trwa w szalonym biegu.

Jeżeli miłość oddechem co łącząc dziwi —
Niechże każdą chwilą w nas kwitnie
Na zawsze zatrzymana w chwili — —

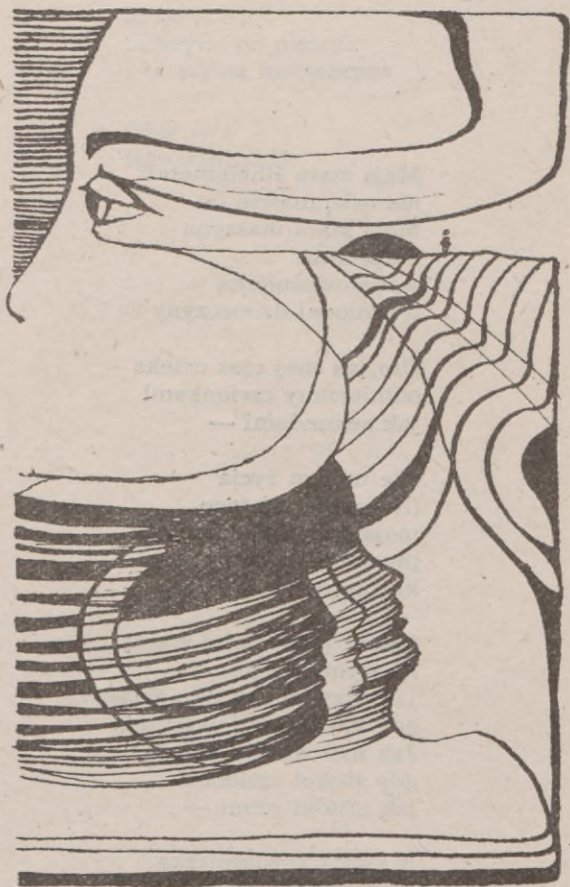
Wyznanie najprostsze

Od wieków w nas dwa światy najmocniej
przeciwwaga tylu rzeczy bliskich —
W nas nie ma wspólnej zimy i żaru wspólnego

Co dzień dążymy do pewności siebie
naszych uczuć Mierzymy jak w aptece
Zapominamy że w miłości pewność wzajemna
to jej kres Jak ślad wyschłego źródła

Od wieków co dzień dziękujemy losowi
żeś ty biegunem a ja przeciwieństwem
że przeciętność powszednia nas omija
I pewność miłości nigdy nie nadchodzi

Od ciebie to
Ode mnie to



Moja stara Rheinmetall

Moja stara Rheinmetall
ma osiemnaście lat
Moja stara maszyna
do pisania
jest rówieśniczką
tej młodej dziewczyny

Oto jak mój czas ucieka
odmierzany czcionkami
jak sekundami —

Nie umiem życia
(Nie umie też tego
moja stara Rheinmetall)
przenieść na bezduszną
kartkę A 4

Siedzę przy mojej starej
maszynie do pisania
jak przy rumowisku żelastwa
gdy każda myśl zgrzytem —
Jak nad własną mogiłą
gdy stukot czcionek
jak grudki ziemi —

A tamta rówieśniczka
jędrnym jabłkiem
ogrodem

w chwili dojrzewania

Moja stara
maszyna do pisania
i ta młoda dziewczyna

Obie —
Rówieśniczki?

Elegia pożegnalna

I

Kwiat ci daję jak cięcie, światłem
słowo ci daję jak miecz dwuręki
Wiosnę przyjmij miłosne wyznanie natury
I myśli moje na proch już starte —

Ze mną niech zostaną jedyne dźwięki —
Echa wspólnej chwili w kształcie chmury

II

Chciałbym tu pozostawić za ileś lat
Sekundę trwający pomnik z powietrza
W oku tych w których odcisnąłem ślad —
I niech nastąpi moja cisza wieczna

Jakże mam przyjąć
twoją bezinteresowność
jeśli niczego nie mogę
ci dać —
Jeśli tobą leczę tylko
moją słabość

Nie wiem co we mnie
przyjmujesz
Co między nami wspólne
i jakie przeciwieństwa
łączą

Twoja bezinteresowność
rzuca mnie na kolana —
Ta przestrzeń domysłów
więzienną niemocą

A gdzieś płynie horyzont
wokół ciebie
któraś dla mnie tylko
baletnicą z obrazu Degasa
choć mówię wciąż
o fundamencie

Twoja bezinteresowność
źródłem mojej nieufności
murem do przebicia

Niedokończony wiersz dla ciebie

Ta wiosna w twoim oku
gdzie obraz synka
rozsadzającego strony świata
łowiącego komety za ogon —
Ta wiosna w odgłosie kroków Komandora
gdy pustką odpowiadają
wszystkie postoje
Wielkiego Wozu

Ta wiosna jedynej nadziei
przylotu jaskółki na ósme piętro —
Brzoza zamglona
jak niewidomy
białą laską
otwiera las —

Tak się zaczyna niedokończony wiersz dla ciebie
o białych listkach wiosennego karawanu — — —

Z miłością jest już
jak z gruntem pod nogami —
Lepiej mieć gorszy
a pewniejszy

A najlepiej praktycznie
jak w liście do pewnej redakcji
Bije maltretuje przychodzi pijany
co mam robić
by nie opuścił mnie
na zawsze

Ponadto
miłość jest podobna do króla
który chcąc do końca pozostać władcą
poddanego grzebie z największymi honorami
by pozostał mu wierny
w mniemaniu innych

A jednak gdzieś

Gdzieś kochają się
kobieta i mężczyzna:
Na miarę
naszego wyobrażenia,
ponad miarę
naszej wyobraźni.

Gdzieś kocha mężczyzna
prześcigając swoje pragnienie,
gdzieś kocha kobieta
zwielokrotnieniem swojej
tęsknoty.

Gdzieś kobieta i mężczyzna
zabijają się z miłości
na miarę naszego
marzenia.

Gdzieś kobieta i mężczyzna
rozumieją się
ponad miarę naszego
spełnienia.

Gdzieś kochają się
kobieta i mężczyzna —
Jakże marzymy o ich miłości
Jakże nienawidzimy ich
miłości.

Wreszcie pocieszamy się:
Aby tak kochać
mężczyzna przestaje być
mężczyzną.
Aby tak kochać
kobieta przestaje być
kobietą.

A jednak
gdzieś.

Dytyramb o miłości

Od początku byłaś moim przeciwieństwem
Więc zatrzymało mnie przy tobie zdziwienie
Każdą myślą której nie znałem i każdym gestem
Co dzień tropiłem w tobie obce mi cienie

Rozpocząłem odtąd tworzyć mozolne dzieło
Ciebie w myśl wymarzonej recepty na miłość
Bo wszystko co obce w tobie grozą tchnęło —
Chciałem zmniejszyć w tobie obcych cieni ilość

A kiedy już dzieło — jak chciałem — stworzyłem
Nagle naszą miłość ujrzałem ze strachem
Bo teraz drogi do ciebie stały się zawile —
Już ze zdziwieniem mieszkamy pod jednym dachem

Odtąd znowu o dwóch światach w nas marzę
Które sobie tak potrzebne jak woda i ogień
W których przeciwieństwa łączy logika zdarzeń —
Ani ty nie bądź aniołem ani ja twoim bogiem



Sen z obrazu dawnych mistrzów

W tym śnie idziesz naga w wielkim ogrodzie,
Liście z drzew okrywają nagość i bezgłośnie
Jak puch odchodzą — I ja uciekam jak złodziej —
W każdej kropli rosy pragnieniem rośniesz.

Na nic domysły dróg do twoich kształtów zawitych —
W tym śnie jesteś zjawą, choć uda rzeźbią powietrze.
Dlaczego istnienie ciebie we mnie przeczuciem winy.
Oto obraz kłamie, że miłości motyla piorun nie zetrze.

Tajemnica

Jesteś
jak echo które wraca
choć nieuchwytnie
Jak wąż który wyslizguje się
choć czuję go wszystkimi
zmysłami

Kiedy jesteś
jak na dłoni
chwytam ciebie
daremnie
jak światło
w garść

I ciemność twoją
bezskutecznie
rozgarniam
jak tonący

Znikąd
dostępu

Oto tajemnica
dlaczego wciąż
istniejemy
obok siebie

Próba odczytania ciebie

Tyś nie Alicją z krainy czarów
lecz z podróży mojej bez pamięci —
Tyś nie Alicją od garów
których skorupy dni składają
cierpliwi święci —

Jesteś nie mową a sednem pożaru
Obojętnością powietrza gdy brak tchu
gdy życie zawęża się do kroków paru
wzdłuż do czterech — wszecz do dwu

Tyś nie Alicją z krainy czarów
Jesteś dla samej siebie karą —
Zostajesz odarta z pozorów i złudzeń
bo zbyt dużo w tobie obcych ludzi —

Elegia o codzienności

Co dzień ocieramy się o przepaść naszych cieni,
I kroków energia wyzwala strachem urwiska —
Co dzień nakładamy na siebie pomniki milczenia,
By świat wciąż rozrywać w myślach — pociskach.

Ograbiona noc nieustannie nasz dzień obnaża —
Jesteśmy wypaleni niczym naczynie garncarza.
Gdzież nasze słowa w ciepłym przyływie morza?
One w naszych przeciwieństwach ostrzem noża.

Ballada o stworzeniu morza

Pytasz jak powstało morze.

Oto wielkolud zakreslił cyrklem
linię horyzontu,
rzucił kamień
i powstały fale.

Zebrał pył ze słońca,
aby stworzyć plażę,
ściągnął kilka chmur niżej —
I tak się zaczęła pierwsza burza.

Wtedy my przyszliśmy.

Projekcja na brzegu morskim

Przy tobie tonięcie jest snem,
budzenie się wejściem na mieliznę.
A jednak:
Ty jesteś dla mnie nie do określenia,
jak chwila wpadania rzeki do morza.

Przy tobie
morze rzeźbi w skałach lżę, ptaka zabłąkanego;
drzewo morza w gwiazdach — ślady
przecinających się naszych dróg.

W tobie dom jak parowiec, który wszedł na dalekie morza,
z ogniskiem, kominem dymiącym i chwilą obiadu,
nawet gdy pory dnia rozpływają się we mgle.

Horyzont łamie się jak podkowa
zgubiona przez konia cwałującego
na niemym filmie —

Ta cisza zapowiada gwałtowność ciebie.

Trzy dedykacje z morzem

1

Jesteś jak morze wieczna,
gdy wzdłuż morskiego brzegu
jak wzdłuż życia chodzę —
Przy tobie zawsze jestem.

2

Każdy mój oddech w myśl o tobie się zmienia,
Bo jesteś wszędzie morzem w przestrzeniach.

3

Nasza miłość co dzień powstaje z martwych —
Jak tonięcie, które jest właśnie rejsem tratwy.

Jej wejście w dzień

Przedświt senną mgłą,
morzem o sierści białego niedźwiedzia.
W jej oczach morski horyzont
z ósmego piętra na wyciągnięcie ręki,
w nieśmiałym rytmie przelewania mleka.

Świt
oswajaniem morza
z dalekim brzegiem. na którym ja —
Jej zdziwienie skąd ktoś
wokół niej jeszcze na ziemię
nie wstąpił.

Wreszcie przekracza próg
morza dnia — W jej ręku gąbka
nasiąka ciemną pamięcią
rozwidnionej codzienności.

Liryk morski

Śmieszna mewa
przewrotnym znakiem morza
odwrotnością jego głębi —

Tutaj jesteśmy najbliżsi
znalezienia kwiatu paproci —
Oto nasza miłość nieobjęta
zamyka nas najściślej —
Chcę ogłuchnąć na twoją
piękność wszystkich syren

Miłość nasza z morza
wąskim spełnieniem
Scylli i Charybdy —
Miłość nasza morzem
niedomówień ziemi



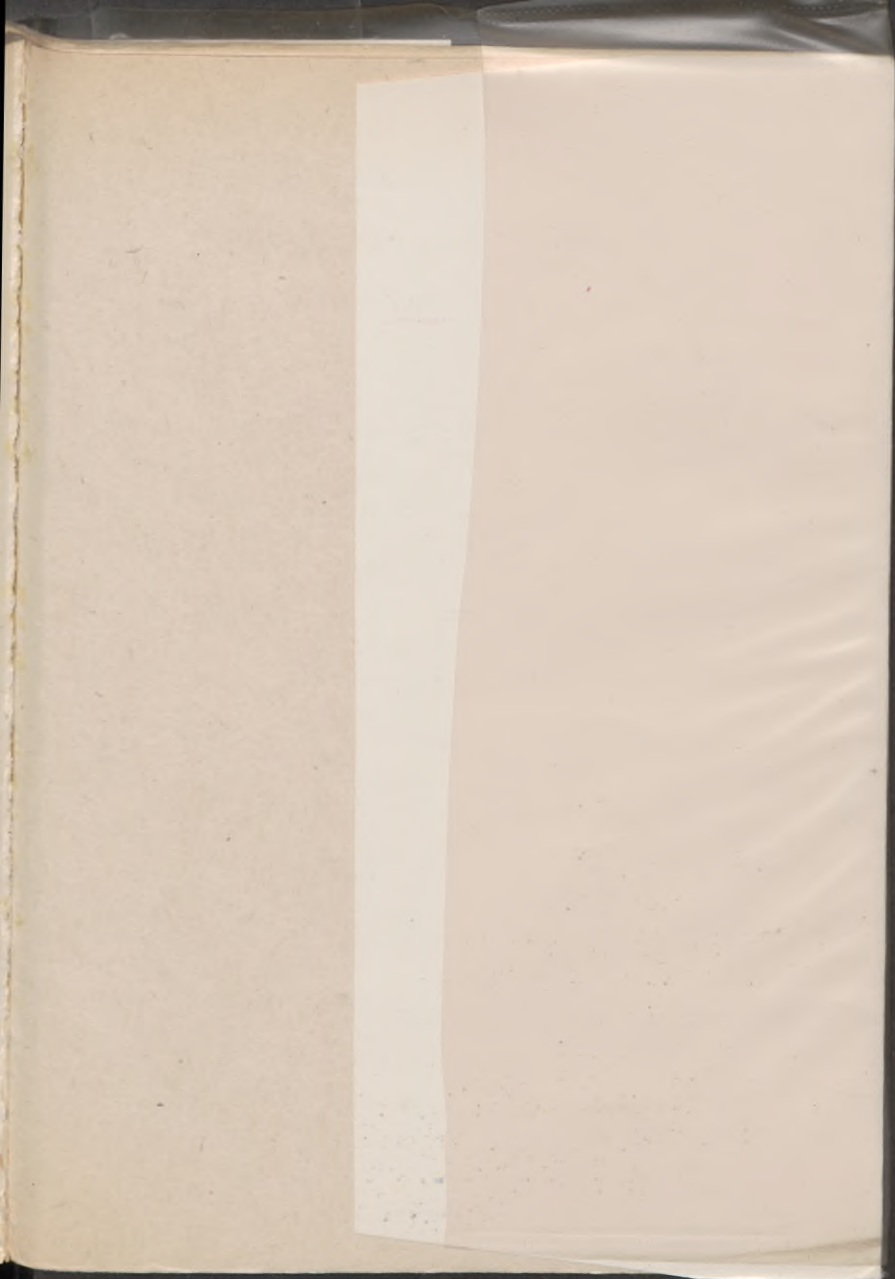
Spis treści

Chory tobą	5
List	6
Wiersz pisany w Warszawie	7
Oczekiwanie z szyn	8
Podróż do ciebie	9
Z tobą	10
Spacer	11
Światła wodospad pod powiekami	12
Przez miasto	13
*** (Jesteś tęczą...)	14
Oczekiwanie	15
Wiara	16
Pierwsza zieleń	18
Otwarcie wiosny	19
Wspomnienie	20
Wędrówka	21
W świątyni po łokcie	22
*** (Twoje oczy...)	23
Wiedza o tobie w szczegółach	24
W chorobie	25
*** (Gdyby przeniknąć się...)	26
W polu	27
Dwudziesta trzecia	28
Do żony	30
On	31
*** (Światło ci ofiaruję...)	32
Nasz syn wejdzie w światło	33

Do córki	34
Ten owoc	35
Sredniowiecze naszej miłości	36
Miłość	37
Erotyk	38
Mały erotyk	39
*** (Jest słońce...)	40
Wiersz sentymentalny	41
Odjazd	42
*** (Skupiam ciebie...)	43
Inna ty — nieuchwytna	44
Szyja	46
*** (Ty jesteś...)	47
Z folkloru	48
Ptak ciężarem ziemi	49
Dwie rzeki	50
Bądź chwilą	51
Akt	52
Zdziwienie sobą	53
Dialog	54
*** (Mówisz tylko las...)	55
Liryk z lustrem	56
*** (Wszystko jest...)	57
Pamięć	58
Swit	60
Powrót	61
*** (To nagle uśmiech...)	62
Cóż pozostanie	63
Obok siebie	64
Odjazd w dzień deszczowy	65
*** (I mówi światu...)	66
*** (Nagły smutek...)	67
Fantom	68
*** (Nasza przeszłość...)	69
Modliszka	70

*** (Jeszcze nie żyję...)	71
Nie mów żeś wyzwolona	72
Maria Magdalena	73
On i ona	76
Jaśmin tego lata	78
*** (Każda podróż...)	79
Co dzień	81
Pytania do bliskiej z odpowiedzią	83
*** (Nie buntuj się...)	84
Nasz pejzaż wewnętrzny	85
*** (Jeżeli miłość...)	87
Wyznania najprostsze	88
Moja stara Rheinmetall	90
Elegia pożegnalna	92
*** (Jakże mam przyjąć...)	93
Niedokończony wiersz dla ciebie	94
*** (Z miłością jest...)	95
A jednak gdzieś	96
Dytyramb o miłości	98
Sen z obrazu dawnych mistrzów	100
Tajemnica	101
Próba odczytania ciebie	102
Elegia o codzienności	103
Ballada o stworzeniu morza	104
Projekcja na brzegu morskim	105
Trzy dedykacje z morzem	106
Jej wejście w dzień	107
Liryk morski	108

15	...	...
20	...	...
25	...	...
30	...	...
35	...	...
40	...	...
45	...	...
50	...	...
55	...	...
60	...	...
65	...	...
70	...	...
75	...	...
80	...	...
85	...	...
90	...	...
95	...	...
100	...	...
105	...	...
110	...	...
115	...	...
120	...	...
125	...	...
130	...	...
135	...	...
140	...	...
145	...	...
150	...	...
155	...	...
160	...	...
165	...	...
170	...	...
175	...	...
180	...	...
185	...	...
190	...	...
195	...	...
200	...	...
205	...	...
210	...	...
215	...	...
220	...	...
225	...	...
230	...	...
235	...	...
240	...	...
245	...	...
250	...	...
255	...	...
260	...	...
265	...	...
270	...	...
275	...	...
280	...	...
285	...	...
290	...	...
295	...	...
300	...	...
305	...	...
310	...	...
315	...	...
320	...	...
325	...	...
330	...	...
335	...	...
340	...	...
345	...	...
350	...	...
355	...	...
360	...	...
365	...	...
370	...	...
375	...	...
380	...	...
385	...	...
390	...	...
395	...	...
400	...	...
405	...	...
410	...	...
415	...	...
420	...	...
425	...	...
430	...	...
435	...	...
440	...	...
445	...	...
450	...	...
455	...	...
460	...	...
465	...	...
470	...	...
475	...	...
480	...	...
485	...	...
490	...	...
495	...	...
500	...	...
505	...	...
510	...	...
515	...	...
520	...	...
525	...	...
530	...	...
535	...	...
540	...	...
545	...	...
550	...	...
555	...	...
560	...	...
565	...	...
570	...	...
575	...	...
580	...	...
585	...	...
590	...	...
595	...	...
600	...	...
605	...	...
610	...	...
615	...	...
620	...	...
625	...	...
630	...	...
635	...	...
640	...	...
645	...	...
650	...	...
655	...	...
660	...	...
665	...	...
670	...	...
675	...	...
680	...	...
685	...	...
690	...	...
695	...	...
700	...	...
705	...	...
710	...	...
715	...	...
720	...	...
725	...	...
730	...	...
735	...	...
740	...	...
745	...	...
750	...	...
755	...	...
760	...	...
765	...	...
770	...	...
775	...	...
780	...	...
785	...	...
790	...	...
795	...	...
800	...	...
805	...	...
810	...	...
815	...	...
820	...	...
825	...	...
830	...	...
835	...	...
840	...	...
845	...	...
850	...	...
855	...	...
860	...	...
865	...	...
870	...	...
875	...	...
880	...	...
885	...	...
890	...	...
895	...	...
900	...	...
905	...	...
910	...	...
915	...	...
920	...	...
925	...	...
930	...	...
935	...	...
940	...	...
945	...	...
950	...	...
955	...	...
960	...	...
965	...	...
970	...	...
975	...	...
980	...	...
985	...	...
990	...	...
995	...	...



WOJEWÓDZKA I MIEJSKA
BIBLIOTEKA PUBLICZNA
im. M. Dąbrowskiej
w Słupsku

Nr inwent.

121 553

MBP Słupsk Centrala



121553



ISBN 83-215-9190-6